

## Cooper James Fenimore

### Jeziro Śmierci

#### Rozdział 1

Do połowy zeszłego stulecia północno-zachodnia część Ameryki, to jest obecne stany: Vermont, Massachusetts, Connecticut i New York były jeszcze zupełnie dzikie i służyły za przytułek dla różnego rodzaju awanturników, pragnących koczować w lasach i dołach. Anglicy wszakże rościli sobie prawa do tych obszarów, w istocie jednak władali nimi Delawarowie, Irokezi, Huronowie i inne plemiona indiańskie.

W jeden z upalnych lipcowych dni 1745 roku, w gąszczach dziewiczego lasu, rozległy się echa dwóch zbłąkanych myśliwych, którzy długi czas usiłowali odnaleźć właściwą ścieżkę. Wreszcie jeden z nich wyszedłszy na leśną polankę, zawołał:

- Zwierzobójco, chodź tu prędzej, odetchniemy znakomicie. Jaki jestem szczęśliwy, żeśmy się wydostali na świat Boży. Otóż i jezioro...

- Czy jednak dobrze znasz tę miejscowość, Harry? - pytał idący za nim drugi myśliwy.

- Jakże możesz o to pytać? Niechaj nie nazywam się Huori Garry, jeżeli to nie jest zeszłoroczna stacja myśliwych. Ot, tam były rozbite namioty, tutaj znów strumień. Rozwiążuj pakunki, bo jestem wściekle głodny.

Siadłszy pod drzewem rozłożystej limby myśliwi wzięli się do jedzenia. Obaj ubrani byli w skórzaną odzież, zaopatrzeni w długą broń, zawieszoną na zielonym sznurze prochownicę, oraz ogromny nóż myśliwski w rogowej oprawie.

Starszy z nich, Huori Garry, będący typem męskiej piękności, wyróżniał się lekkością i elegancją ruchów. W istocie nazywał się Henryk March, tu jednak znano go pod nazwiskiem Huori Garry.

Zwierzobójca w niczym zupełnie nie był podobny do swego towarzysza. Był to szczupły, wysoki, niezwykle muskularny człowiek. Jakkolwiek nie wyróżniał się pięknnością, twarz jego była szlachetna i nosiła znamiona żelaznej woli.

- Słuchaj, Zwierzobójco - zwrócił się doń Harry - przezwano cię tym mianem z powodu celności w polowaniu na zwierzęta. Czy jednak udało ci się kiedy równie celnie trafić do ludzi, usiłujących cię zamordować?

- Nie, Harry. Nigdy nie zabijałem ludzi. Mógłbym to tylko uczynić w otwartej ucziwej walce.

- Jeżeli zabijasz same czworonogi, to wybaczone, ale długo nie będziemy ze sobą - mówił Harry z ironią.

- Dobrze - odrzekł. - Możemy się rozstać. Jeszcze dziś udam się do jednego z przyjaciół, który nie będzie mi miał za złe, iż nie zabijam ludzi.

- Gdzie myślisz spotkać twego przyjaciela, Delawara?

- Tuż około jeziora. Mingowie oraz ich przyjaciele Mohikanie, potomkowie wielkiego plemienia Delawarów uważają w czasie pokoju to jezioro za własność ogólną.

- Za ogólną własność! - zawołał Harry z głośnym śmiechem. - Chciałbym wiedzieć, co też Tom Hutter na to powie. On uważa, że jezioro należy tylko do niego, pragnie go więc zatrzymać, nie bacząc na Mingów i Delawarów.

- Zatem ów Tom Hutter musi być jakimś dzielnym człowiekiem. Opowiedz mi Harry o nim coś więcej.

- Mówią, iż we wczesnej młodości był rozbójnikiem morskim. Niezbyt dawno osiedlił się tutaj, spokojnie oczekując starości na zagrabionych majątkach. Człowiek ten o wielce elastycznym sumieniu, zamieszkuje to pustkowie z dwoma córkami.

- Ma zatem dwie córki? - pytał Zwierzobójca. - Delawarowie mówili mi tylko o jednej, Judyte. Wnioskując z ich opisu, nie myślę, aby mi miała przypaść do gustu.

- Bądź spokojny, - zawołał Harry - nie zwróci ona na ciebie uwagi. Piękna i wspaniała jak młoda palma, jest bardzo lekkomyślna, żądając, aby ją tylko czczono i ubóstwiano. Gdyby nie to, z ochotą ożeniłbym się z nią, pozostawiając starego Toma opiece młodszej córki, Getti.

- Zatem w gniazdku jest jeszcze jeden ptaszek. Czemuż Delawarowie mówili mi tylko o jednym?

- Bardzo słusznie, Judyta jest bowiem odważna, stanowcza i podstępna, jak wojownik indiański, biedna Getta zaś naiwna i słaba rozumem.

- I pięknie - odpowiedział Zwierzobójca. - Należy ona więc do tych istot, które Bóg przyjmuje pod swoją obronę. Nawet między dzikimi czerwonoskórymi nie znajdzie się nikt taki, kto by miał uchybić temu miłemu stworzeniu. Wstawaj jednak. Czas iść dalej.

Myśliwi powstali i, wzięwszy broń, weszli w drzemiący dziewiczy las. Po upływie pół godziny przed oczami ich ukazało się jasne jezioro, a wraz z nim zabłysnął tak przepiękny widok, iż Zwierzobójca nie mógł wyjść z podziwu.

Za kryształowej tafli jeziora tu i ówdzie widniały malownicze szczyty wysokich gór.

- Jakie to wspaniałe! - zawołał Zwierzobójca. - Co tam widać, w oddali, nieruchome w wodzie? Na wyspę to za małe, na łódź znów za wielkie.

- Oficerowie angielscy najbliższej twierdzy nazywają to siedzibą pizmowego szczura. Nazwa zupełnie trafna i więcej niż odpowiednia, gdyż stary Tom bardziej przypomina szczura niż człowieka. Prócz tego ma jeszcze pływający dom, w którym porusza się po jeziorze. Chodźmy, zobaczymy, czy właściciel jest w domu.

Z tymi słowami Harry rozgarnął krzewy, i wyciągnąwszy schowaną tam łódkę, spuścił ją na wodę.

Myśliwi ulokowali się w niej, odbili od brzegu.

Harry machnąwszy wiosłami pomknął jak strzała. Po kwadransie podплыnęli ku mieszkaniu pizmowego szczura.

"Zamek" stał na piaszczystej wydmie, o którą rozbijały się fale. Tom Hutter wbiwszy w piasek mocne pale, zbudował dom tuż nad samą wodą.

Rzecz prosta, iż kosztowało to niemało trudu i sztuki, za to jednak dom ten był bezpieczniejszy niż wszystkie fortece.

Przypłynąwszy do tajemniczego ustronia myśliwi przywiązali łódź do drewnianej przystani, sami zaś wyszli na brzeg.

- Domyślałem się - zawołał Harry, przechadzając się po przystani, którą właściciel nazywał podwórzem, - że w domu nie ma nikogo. Widocznie wszyscy gdzieś podróżują.

Harry pozostał na przystani, a Zwierzobójca, bynajmniej nie kępując się niczym, udał się na oględziny fortecy, po czym otworzywszy pierwsze lepsze drzwi z brzegu, znalazł się w pokoju, który musiał należeć do młodych dziewcząt.

Tu i ówdzie znajdowały się porozmieszczane piękne ubrania i czepeczki ze wstążkami, buciki ze srebrnymi klamerkami oraz masa wachlarzy i rękawiczek. Z drugiej strony wisiały różne ubrania ze zwykłego prostego płótna niezwyklej jednak białości.

Myśliwy obejrzawszy pokoje powrócił do towarzysza, bezustannie obserwującego jezioro.

- Łodzi nigdzie nie widać. Widocznie stary korzystając z pięknej pogody popłynął w dół rzeki. Ciężko nam będzie go dopędzić.

Towarzysze usadowili się w czólnie i popłynęli jeziorem. Za każdym obrotem łodzi Harry oglądał się w nadziei ujżenia łodzi.

- Nadzieje jego zdawały się być płonnymi, wreszcie skierował łódź ku południowo-wschodnim brzegom jeziora; po chwili znaleźli się w szerokim ujściu rzeki, porośłym dokoła wspaniałymi sosnami i niebotycznym zadrzewieniem, którego gałęzie zwieszały się w wodę. Lekka łódka szybowała z prądem rzeki, która zwiężała się coraz bardziej, tak dalece, iż lękać się zaczęli, aby łódź nie roztrzaskała się o brzegi.

Nagle Harry, chwyciwszy za zwieszające się gałęzie, zatrzymał łódź, a Zwierzobójca zwyczajem myśliwskim wziął broń, chociaż żadnego niebezpieczeństwa na razie nie było i nic im nie zagrażało.

- Ot, widzisz starca - powiedział Harry, wskazując palcem ku dołowi rzeki - stoi po kolana w błocie i zakłada pułapki na bobry. Łodzi nigdzie nie widać. Założę się o skóry wszystkich zwierząt, które zabiję w tym roku, iż Judyta nie wejdzie w to wodniste błoto. Na pewno czesze się teraz nad strumieniem.

Nagle spoza krzewów z figlarnym uśmiechem ukazała się twarzyczka Judyty, której się tu nie spodziewano, stojącej właśnie w owej łodzi, której tak pilnie szukano.

## Rozdział 2

Łódź, a raczej pływający dom Toma Huttera był bardzo prymitywny. Pośrodku szerokiego dna stał malutki domek, podobny do fortecy na jeziorze, zbudowany jednak z tak lekkiego. W rzeczywistości cała ta konstrukcja była czymś w rodzaju wielkiej łódki, która pomimo swej wielkości i ciężaru bardzo łatwo ślizgała się po wodzie.

Harry w jednej chwili wyskoczył na brzeg, przymocował łódź do krzewów, po czym rozpoczął ożywioną rozmowę z młodą dziewczyną, zapomniawszy o wszystkim innym.

W tym czasie Zwierzobójca zbliżywszy się do łodzi zaczął przyglądać się jej budowie. Siostra Judyty siedziała na pokładzie z robótką w ręku. Była to miła, skromna dziewczyna. Getti nie była tak piękna jak jej siostra, jednak wyraz twarzy miała niezwykle miły i przyjemny.

- Ty jesteś Getti Hutter? - zapytał ją Zwierzobójca. - Słyszałem o tobie od Harry'ego.

- Tak - odpowiedziała bardzo cicho. A pan jak się nazywa?

- Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Mimo moich młodych lat mam więcej imion niż pierwszy lepszy wódz delawarski.

- Mimo tego, musi pan mieć jakieś własne stałe imię. Niepodobna mieszać imion bez żadnej przyczyny.

- Naturalnie. Zmiana mych imion nie była jednak ode mnie zależna. Posłuszny byłem tylko obyczajom Delawarów, wśród których wyrosłem. Ojca mego zwano Bumpo, a na chrzcie dano mu imię Nataniel, lub jak tu mówią Natti.

- Natti i Getti - rzekła dziewczyna z miłym uśmiechem. - Pan Natti a ja Getti, pan Bumpo, a ja Hutter. O! Hutter brzmi daleko piękniej, stokroć piękniej!

- To rzecz gustu, - odparł z uśmiechem młody łowca - chociaż jednak Bumpo nie brzmi dźwięcznie, nosili je zwykle zacni ludzie. Niedługo jednak mnie tak wołano. Z początku Delawarowie nazywali mnie Prawdziwym Językiem, ponieważ nienawidzę chytrości i kłamstwa, następnie Jeleniem, z powodu, mojej szybkości, potem Oстрыm Uchem wskutek daru wyszukiwania dziczyzny, wreszcie Zwierzobójcą z powodu celności strzałów na polowaniu.

Rozmowa młodych ludzi przerwana została przybyciem Toma Huttera, który nie zdziwił się bynajmniej przybyciem myśliwych i mile witał się z gośćmi.

- Cieszę się niezwykle, widząc cię Harry - rzekł. - Tydzień temu przybył do mnie goniec z Kanady, donosząc o wynikłych tam niepokojach. Pośpieszyłem też czym prędzej do domu, ponieważ nie ma komu bronić córek. Nie przybywasz jednak sam jeden - mówił starzec,

obrzucając Zwierzobójcę badawczym spojrzeniem.

- Nudno jest chodzić samemu. Mówią, że w drodze zadowolonym się bywa z byle jakiego towarzystwa, a ten młodzieniec jest wybornym kolegą. To słynny Zwierzobójcą, znakomity wódz Delawarów. W razie napadu Indian, człowiek ten oddać może ważne usługi celnym swoim strzelaniem.

- Bądź pozdrowiony, młodzieńcze - rzekł z przyjaźnią w głosie Tom, podając grubą, spracowaną rękę. - W obecnych czasach przyjacielem jest każdy biały, stąd liczę na twoją pomoc. W tutejszych lasach pojawili się już dzicy. Godzinę temu płynąc w dół rzeki, dojrzałem świeże ślady. Wnosząc z miary nogi był to Indianin, w dodatku znalazłem jeszcze parę starych mokasynów.

- Być może, iż był to ślad mego przyjaciela, wodza Delawarów - zauważył Zwierzobójcą. - Czy można spojrzeć na mokasyny?

Judyta przyniosła mokasyny i młody myśliwy uważnie obejrzawszy je wywnioskował, iż są one roboty delawarskiej i należą do Indianina, mieszkającego na północ od wielkich jezior.

- W takim razie nie możemy pozostawać tu ani chwili dłużej, - zawołał Hutter. - Słyszałeś pan, nie dłużej jak pół godziny temu wystrzał w górach.

- Ten wystrzał pochodził ode mnie - odpowiedział przygnębiony Zwierzobójcą.

- Młodzieńcze, w czasie wojennym nie strzela się bez żadnej przyczyny - upomniał go stary.

Po krótkiej naradzie postanowiono niezwłocznie udać się do fortecy.

Hutter podniósł kotwicę i mężczyźni przy pomocy liny, znajdującej się na bloku podnieśli ciężką łódź i puścili po wodzie. Judyta pod prąd zaczęła kierować sterem.

Już się zmierzchało i mężczyźni lękając się niespodziewanego napadu, uważnie przyglądali się gałęziom gęstych krzewów, wreszcie ciężka łódź wpłynęła w szerokie koryto rzeki.

- Dzięki Bogu! - zawołał Harry. - Teraz już będzie widniej i mniej zadrzewienia.

- Mylisz się Harry. Miejscowość ta bardziej niż inna odpowiednia jest do napadu i musimy trzymać się bacznie - wyszeptał Tom Hutter.

- Wejźmy teraz do przedniej kajuty - mówił dalej - przeciągniemy linę przez drzwi, wskutek czego będziemy w miarę bezpieczni, Zwierzobójca niechaj wartuje, stojąc u okna. Nie radzę mu tylko zanadto wysuwać głowy.

Zbliżali się z wolna do ostatniego zakola rzeki. Obejrzawszy prawy brzeg Zwierzobójca przeszedł na drugą stronę, aby poobserwować lewy.

Gdy łódź przepływała przez największe zwężenie rzeki, oczom myśliwych przedstawił się straszny widok.

Na wysokim drzewie, którego gałęzie zwieszały się ponad głową, siedziało kilkunastu

uzbrojonych dzikich, którzy widocznie przygotowywali się do napadu na łódź.

- Słuchaj Harry - krzyknął Zwierzobójca z przerażeniem - ciągnij silniej, jeżeli ci życie drogie!

Zrozumiawszy o co chodzi, Tom wraz z Harrym używali nadludzkich wysiłków, aby nadać szybszy bieg łodzi, Indianie zaś widząc, iż ich dostrzeżono, z głośnym wojennym okrzykiem rzucili się na nią.

Skok ich na szczęście był źle obliczony i wszyscy, z wyjątkiem wodza, wpadli do wody; ten zaś ogłuszony upadkiem, rozpłaczliwie się zaczął czepiać łodzi, aby nie utonąć.

W jednej chwili z kajuty wyskoczyła Judyta i silnym pchnięciem strąciła wodza do rzeki. Zaledwie Zwierzobójca zdołał wciągnąć ją z powrotem do środka, gdy z lasu dobiegały wojownicze okrzyki tubylców i ściany kajuty w jednej chwili obsypane zostały gradem kul. Dzięki zręcznemu sterowaniu Huttera statek szczęśliwie wypłynął z rzeki i wkrótce podpłynął do siedliska na cyplu.

Zabroniwszy zapalać ogień, Tom polecił córkom, aby poszły spać, sam zaś z towarzyszami pozostał na pokładzie celem odbycia narady. - Musimy pozostać zupełnymi panami na jeziorze - rzekł - dokąd nie przybędą inne łodzie, nie mamy czego się obawiać. Prócz mego kajaka mamy tu jeszcze dwie łodzie, ale pomimo iż są dobrze ukryte w gąszczach, dzicy niezawodnie już jutro odszukają je.

- A więc należałoby co rychlej łodzie przetransportować do fortecy - zauważył Zwierzobójca.

- Może pomożesz nam w tym?- zapytał Tom.

- Oczywiście, i nie tylko w tym, lecz wezmę czynny udział we wszystkim, co jest zgodne z sumieniem. Nawet w razie bitwy z czerwonoskórymi, postaram się uczciwie spełnić swój obowiązek. Zresztą nie uczestniczyłem nigdy w takiej potyczce, nie wiem więc na ile mogę się okazać przydatnym,

- Mówisz uczciwie i szlachetnie - rzekł Harry - nie wiemy tylko, jakie okażą się twoje zdolności żołnierskie.

- Kto dożyje, zobaczy - odpowiedział ze spokojem Zwierzobójca. - Nigdy nie zwykłem się przechwalać.

- W każdym razie wiosłować umiesz, a na razie więcej nam nie potrzeba - rzekł Hutter. - Czas jednak nagli.

Mężczyźni weszli do kajaka, przywiązanego do łodzi, Tom skierował go ku owemu brzegowi, gdzie były ukryte łódki, które, po wyjściu na brzeg, rychło odszukano. Zadowolony z szybkiego obrotu sprawy, Tom Hutter zaproponował sprawdzenie sąsiedniego cypla, w celu przekonania się, czy stamtąd nie zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Objechawszy cypel ujrzeli tu i ówdzie wybuchające jasne płomyki, skąd wywnioskowano, iż to obóz Indian.

Tom wraz z Harrym wymienili z sobą wielce znaczące spojrzenia.

- W obozie, jak się zdaje - szepnął Hutter Harremu - pozostały tylko kobiety i dzieci. Tym lepiej dla nas. Rząd płaci za skalpy kobiet i dzieci tyle, co za skalpy mężczyzn, a w obozie znajduje się ich niemała liczba.

- Słuchaj Zwierzobójco - rzekł, zwracając się do niego Harry, wsiadaj do łodzi, zabieraj z sobą łódki, następnie puść je z prądem, potem popłyn wzdłuż brzegu i zatrzymaj się u wierzchołka cypla, od strony zatoki. W razie potrzeby, zawołamy cię. Skoro postysz wystrzały, przybywaj i dowiedz nam swego męstwa czynem. Zobaczymy, czy potrafisz równie zręcznie załatwiać się z dzikimi, jak z jeleniami.

Zwierzobójca smutnie pokręcił głową, potem wyciągnął łódki na sam środek jeziora i pchnął je w kierunku zamku, sam zaś w głębokim zamyśleniu powrócił do cypla, wyczekując dalszych wydarzeń.

Zapadł zmierzch, a z nim ciemność coraz większa. Nad jeziorem tu i ówdzie przebiegały jakieś cienie, z gęstwin zaś prawie co chwila dobiegał uszu dziwny szelest. Upłynęła godzina, gdy rozległ się wystrzał umówiony pomiędzy nim a Harrym.

Zwierzobójca gotował się już do skoku do łodzi, chcąc płynąć na pomoc towarzyszowi, gdy nocną ciszę rozdarł straszny, przeraźliwy krzyk. Tak krzyżeć mogły tylko przestraszone kobiety i dzieci. Po chwili dał się słyszeć trzask łamanych gałęzi. Zwierzobójcy krew zastygła w żyłach na ów przenikliwy jęk, pomimo tego szybko przybił do skalistego brzegu do miejsca skąd dobiegały odgłosy walki. Padło kilkanaście wystrzałów, silnie odbijając się w górach, krzyki dobiegały tu i ówdzie. Widocznie bój wrzał w gąszczu. Naraz uszu Zwierzobójcy dobiegły okrzyki Toma Huttera:

- Puszczajcie mnie wściekle psy. Mało wam, że mnie katujecie, chcecie mnie jeszcze zadusić!

- Stało się więc - pomyślał Zwierzobójca. - Tom wraz z Harrym wpadli w ręce Indian. Pomóc im nie jestem w stanie, sam tylko mogę zginąć...

- Odbijaj co prędzej, zuchu - dobiegł go głos Toma. - Opiece twojej oddaję moje córki. Uciekaj od przeklętych tubylców i niechaj Bóg nagrodzi cię w przyszłości za wszystko, co uczynisz dobrego dla bezbronnych sierot.

Zwierzobójca odbił od brzegu i zatrzymał łódź, zaczął nasłuchiwać. Wkrótce dały się słyszeć z wolna oddalające się kroki. To Indianie prowadzili więźniów do swego obozu. Zmartwiony wypłynął na środek jeziora, a puściwszy łódź na los wiatru, wyczerpany przebytymi wrażeniami, padł na dno zasnąwszy głębokim snem.

### **Rozdział 3**

Kiedy Zwierzobójca zbudził się, było już dość jasno. Słońce nie wzeszło jeszcze, niebo jednak promieniało czerwonością, a ptactwo na różne tony zawodziło dokoła.

Lekki wietrzyk bez przerwy popędzał puszczoną nocą łódki. Myśliwy chciał je zabrać do

fortecy na wyspie, ale zaledwie jedną przyciągnął wiosłem, gdy z sąsiednich krzaków padł strzał i kula przebiegła tuż koło jego uszu.

Zachwiał się i upadł na dno łodzi, przyczał się i czekał.

Rozległ się dziki okrzyk. Spoza krzaka wybiegł Indianin, rzucając się ku łodzi. Zwierzobójca czekał na niego. Powstał i wycelował wstrzymując się jednak z wystrzałem. To wahanie ocaliło życie Indianinowi, który w jednej chwili skrył się w gąszczu.

Zwierzobójca, wyskoczył na brzeg, ukrywszy się za pobliskim drzewem ujrzał, iż Indianin znów nabija broń. Należało zastrzelić wroga, sumienie jednak nie pozwalało mu na to.

- Nie - wyszeptał. - Tylko czerwonoskórzy mordują z zasadzki, niechaj najpierw nabije broń, a potem zaczniemy otwartą walkę.

Zwierzobójca zauważył, iż Indianin skrada się ku łodzi.

- Chce zawładnąć łodzią - rzekł do siebie - to jednak mu się nie uda.

Indianin nie przypuszczając, iż nieprzyjaciel nie spuszcza go z oczów wyszedł spoza dębu skradając się czujnie, rozglądał się wokoło. Zwierzobójca, nie dając się wyprzedzić, wyskoczył z zasadzki, wołając:

- Chodź tu, czerwonoskóry, jeżeli mnie szukasz. Od ciebie zależy czy zawrzesz ze mną pokój, czy zaczniesz wojnę.

Indianin na chwilę zamarł w bezruchu na widok niebezpieczeństwa. Rozumiejąc nieco po angielsku, szybko domyślił się o co chodzi.

- Dwie łódki! - zawołał, podnosząc w górę dwa palce. - Jedna dla białego, druga dla czerwonoskórego.

- Nie, Mingo, tak nie będzie - odparł myśliwy. - Łódki nie są twoje i zaręczam ci, że nie otrzymasz ani jednej.

Silnym ruchem ręki odepchnął łódź daleko od brzegu. Śmiały, zarazem niezwykle stanowczy sposób postępowania wywarł wielkie wrażenie na tubylcu, który obrzucił spojrzeniem drugą łódź, gdzie leżały wiosła, a twarz jego przybrała wyraz spokoju.

- Pięknie - rzekł Indianin, - Bładolicy mój brat: młoda głowa, dzielny rozum. Pójdę, powiem wodzowi, że nie odnalazłem łódki.

Indiański wojownik nie oglądając się za siebie skierował się prosto, w kierunku lasu, Zwierzobójca zaś poszedł do łodzi, trzymając broń na ramieniu. Zamierzał wyruszyć w powrotną drogę do siedziby Huttera, gdy, nagle spoza krzaków ujrzał przed sobą nienawistne spojrzenie dzikiego Indianina i skierowaną wprost ku niemu lufę karabinową. Zwierzobójca w jednej chwili pociągnął! za cyngiel i wystrzelił, padły dwa strzały, rozlegając się donośnym echem po górach.

Kula Indianina nie dosięgła myśliwego, natomiast kula łowcy zwierząt ugodziła



czerwonoskórego, który ostatnim wysiłkiem cisnął tomahawkiem usiłując zabić Zwierzobójcę. Ten jednak pochwycił lecący topór, a Indianin zachwiawszy się padł na ziemię.

Zwierzobójca najpierw nabił broń, a następnie zbliżył się do leżącego. Ten, nie tracąc przytomności, był pewien, iż zwycięzca przychodzi zdzierać skalp, mieszkający bowiem nad granicą biali przejęli ten zwyczaj od Indian.

Zwierzobójca smutnie popatrzył na umierającego. Po raz pierwszy zabijał człowieka.

- Nie bój się - mówił - nie byłem ci wrogiem, nie chcę twojego skkalpu.

- Wody - wyjęczał nieszczęśliwy. - Daj wody.

Myśliwy wziął śmiertelnie rannego na ręce i przeniósł nad jezioro, gdzie zwilżył wodą usta konającego, wlewając w jego sercu jeszcze kilka słów otuchy.

- Dobrze - wyszeptał Indianin słabym glosom. - Młoda głowa, stara mądrość, ale młode serce. Stare serce jest okrutne, zdziera skalp. Jak nazywają bladego?

- Delawarowie zowią mnie Zwierzobójcą, przyrzekli jednak nazwać mnie inaczej, skoro zostanę ich wodzem.

- Zwierzobójca, to dobre imię dla chłopca, ale nie dla dzielnego wojownika. Potrzeba innego. Tu nie ma strachu - mówił - wskazując na pierś zwycięzcy, oko pewne, nie zawodzące, celuje celnie. Spojrzał, wystrzelił, zabił... Tyś nie, Zwierzobójca a Sokole Oko... uściśnij mi teraz rękę.

Młodzieniec, otrzymawszy na całe życie miano Sokolego Oka, dane przez umierającego czerwonoskórego, wziął kostniejącą już prawie i zimną jego rękę i trzymał w swojej dopóki Indianin nie umarł.

I długo tak stałby obok trupa, pogrążony w smutnym dumaniu, gdyby na brzegu nie ukazał się Indianin, który na widok nieżyjącego towarzysza wydał krzyk przeraźliwy, jaki echem tysiąca głosów rozległ się w oddali.

Zwierzobójca szybko wskoczył do łodzi i popłynął po jeziorze. Długo pędził za łódkami, zanim udało mu się nareszcie je uchwycić.

Słońce wzbilo się już wysoko, oświetlając złocistymi promieniami brzegi jeziora. Przybywszy do siedliska młodzieniec ujrzał na przystani obydwie dziewczyny, które w niemym niepokoju, z trwogą oczekiwały powrotu mężczyzn.

- Na Boga! - zawołała Judyta. - Mów prędzej, gdzie ojciec?

- Stało się z nim nieszczęście, którego ukrywać nie mogę - odparł ze spokojem Zwierzobójca.

- Wraz z Harrym dostali się do niewoli Mingów i tylko Bóg jeden wie, czym się to skończy. Łódki dobrze schowałem.

Nieprzyjaciele nie odnajdą ich. Dotrzeć do nas mogą tylko wpław. Pod wieczór oczekuję

wodza Delawarów, Szyngaszguka, z którym będziemy bronili naszej fortecy, dopóki nie otrzymamy pomocy z najbliższej twierdzy.

Tu, pokrótce, Zwierzobójca opowiedział dziewczętom, co się stało.

Słuchały go z natężoną uwagą. U Getti ukazały się łzy w oczach, mimo to nie straciła ani jednego wyrazu, Judyta zawołała:

- Nie opowiedziałeś nam wszystkiego. Słyszałyśmy niedawno jeszcze wystrzały. Na pewno walczyłeś z czerwonoskórym?

- W istocie, po raz pierwszy w życiu. Była to jednak nie walka ale drobnostka. Jeżeli jednak uda mi się zamiar przywiezienia tutaj Szyngaszguka, stoczmy wówczas bój na śmierć i życie. Nie damy czerwonoskórym dostać się do nas i zawładnąć naszym fortem.

- Kim jest ów Szyngaszguk? - z ciekawością pytała Judyta.

- Szyngaszguk jest potomkiem wielkiego plemienia Mohikanów. Przodkowie jego byli dzielnymi wodzami i on za ich przykładem stoi po stronie Delawarów. Teraz, gdy wokoło trwa wojna, uderzymy wraz z nim na Mingów z następującej przyczyny: jeden z delawarskich wodzów ma córkę imieniem Witawa, piękną jak malowanie. Wielu miała konkurentów, a w tej liczbie i mego przyjaciela Wielkiego Węża, jest to właściwe jego imię, pięknego niezwykle młodziana, który jej się bardzo podobał. Kiedy kilka tygodni temu na wielkich jeziorach Mohikanie łowili ryby, Witawę pochwyciono. Wielki Wąż chce odszukać dziewczynę i oswobodzić ją.

Dzień ciągnął się bardzo wolno, wszyscy niecierpliwie oczekiwali na Szyngaszguka. Zwierzobójca silnymi łańcuchami przywiązał łódki do domu, sam zaś siadł wraz z dziewczętami do kajaka, bojąc się pozostawić je same w forcie i popłynęli na spotkanie. Dał silny wicher i Zwierzobójca skierował kajak ku temu miejscu, gdzie wczoraj byli więźni do niewoli Harry i Tom, aby Indianie byli przekonani iż przybywają dla układów z nimi o jeńców, a potem jednak zakręcił ku korytu rzeki, zarzucając kotwicę niedaleko od brzegu. Słońce zniknęło za górami i jezioro z wolna pogrążało się w cieniu. Judyta stojąc w oknie kajuty, patrzyła nieruchomo w dal, nagle zawołała:

- Patrz Zwierzobójco! Na skale stoi indiański wojownik. Nad lewym uchem ma orle pióro.

- Bogu dzięki, to on, Szyngaszguk - z radością zawołał młodzieniec, przyciągając liną łódź do brzegu.

Kajak lekko się zakołysał, po czym drzwi kajuty otwarły się na oścież, a w nich ukazał się młody wojownik. Judyta i Getti krzyknęły z przerażenia. Powietrze zahuczało okrzykami Indian. Niektórzy z nich z rozpędem rzucali się do wody.

- Zwierzobójco, wiosłuj prędzej - wołała Judyta. - Po jeziorze płynie mnóstwo Indian.

Młodzieniec wraz z Szyngaszgukiem podbiegli do wiosł i zaczęli pracować z całą siłą. Kajak ruszył jak strzała, wyprzedzając tubylców tak bardzo, iż ani jedna kula nie mogła go osiągnąć. Uniknęli na razie niebezpieczeństwa, dziewczęta zaczęły szykować wieczorne pożywienie, przyjaciele zaś opowiadali swoje przygody w języku Delawarów. Szyngaszguk

objaśnił, iż ledwie uszedł niebezpieczeństwu, dzięki najwyższej ostrożności, z rąk pobratymców, którzy wokoło porozstawiali straż.

- Czyś nie słyszał co o jeńcach Mingów: ojcu tych dziewcząt i pewnym myśliwym?- zapytał Zwierzobójca.

- Szyngaszguk widział ich - brzmiała odpowiedź.

- Pewno są skuci w kajdanach i źle się z nimi obchodzą.

- Bynajmniej. Mingów jest tylu, że uważają za zbyteczne wprost pilnowanie swych jeńców. Jedni z nich dozorują, inni śpią, inni udali się na przeszpiegi, ktoś jest na łowach. Dziś obchodzą się z nimi jak z braćmi, a jutro zdejmą z nich skalpy.

- Judyto, Getti, słuchajcie - zawołał myśliwy, zwracając się ku dziewczętom. - Wielki Wąż widział jeńców i mówi, że oni są zdrowi i obchodzą się z nimi dobrze.

- Ach, jakże jestem szczęśliwa - zawołała Judyta - być może uda się nam ich ocalić.

Zwierzobójca w krótkich słowach opowiedział Szyngaszgukowi zdarzenia poprzedniego dnia. Młody Indianin ucieszył się bardzo, że jego przyjaciel zasłużył na miano Sokolego Oka. Gdy kajak podpłynął do fortecy na jeziorze, ściemniało się już zupełnie i wkrótce wszyscy udali się na spoczynek. Przyjaciele po kilka razy wstawali w nocy, obchodząc obejście wokoło. Pomimo iż wszystko wydawało się być w porządku, rankiem dostrzeżono brak jednej łódki, a jednocześnie zniknięcie Getti. Domyślono się, że postanowiła udać się do obozu Mingów, aby ocalić jeńców. Lękając się, by nie wpadła w ręce Indian, udano się na poszukiwania i po dwóch godzinach powrócono lecz bez dziewczyny. Judyta była bardzo smutna i milcząca. Trwożył ją niepewny los ojca i siostry. Zwierzobójca, o ile mógł, starał się uspakajać ją i zapewniał iż Mingów łatwo jest przekupić, bowiem chętnie wymieniają jeńców na kosztowności.

- Strach pomyśleć, że mogą zabić ojca, - zawołała młoda dziewczyna ze łzami w głosie. - Z radością oddam wszystko, co posiadam, niestety, lękam się iż nie starczy tego na wykup. Zresztą - dodała po chwilowym namyśle - przyszła mi do głowy pewna myśl. Tam w kącie stoi kufer, gdzie znajdować się mogą jakieś wielkie kosztowności. Tak sędzę, gdyż ojciec w naszej obecności nigdy go nie otwiera i zawsze dziwnie tajemniczo nań patrzy.

Klucz od kufra rychło odnaleziono. Zwierzobójca z trudem otworzył trzy ciężkie, zardzewiałe zamki i podniósł wieko. Na wierzchu leżało męskie ubranie z cieniutkiego sukna i kobieca odzież.

- Czemu mamy szperać w cudzych rzeczach - zauważył Zwierzobójca.- Dla Indian dość będzie i tych ubrań.

- Ojciec dla mnie to swój, a nie obcy - dumnie wyrzekło dziewczę. - Chodzi tu o jego życie. Muszę przepatrzeć wszystko.

Pod ubraniem leżały dwa nabite pistolety. Myśliwy, dla uniknięcia nieszczęścia rozładował je, przy czym jeden z nich rozleciał się na kawałki, nie czyniąc jednak szkody nikomu. Po pistoletach Judyta wyjęła jakiś błyszczący instrument oraz skrzyneczkę z szachami. Szachy

były wspaniale wyrzeźbione z kości słoniowej, większe, niż spotykano. Na koniach siedzieli zbrojni jeźdźcy, na słoniach mieściły się piękne wieżyczki, piesi zaś wyobrażali wieśniaków w różnych ubiorach.

Judyta i Zwierzobójca z ciekawością zaczęli oglądać piękne figurki. Przy czym młody myśliwy wyraził przypuszczenie, że muszą to być jakieś bożki pogańskie, a Szyngaszguk wpadł w taki zachwyt, że zupełnie zapomniał o swoich godnościach indiańskich. Najbardziej podobały mu się słonie, toteż z widocznym żalem po długim oglądaniu zwrócił szachową figurkę.

- Dobre są dla Mingów - zauważył. - Mingo nie zna słoni, będą ich skarbami.

Postanowiono zaproponować dzikim figurki słoni z wieżyczkami jako wykup jeńców, resztę szachów schowano do kufra. Zwierzobójca zatrzasnął wieko i położył klucz na miejscu.

#### Rozdział 4

Zebrani tak byli zajęci oglądaniem szachów, iż zapomniawszy najzupełniej o zagrażającym niebezpieczeństwie drgnęli z przerażenia, posłyszawszy zbliżające się kroki. Zwierzobójca chwycił za broń, jednocześnie nakazując Szyngaszgukowi ukryć się. Gdy drzwi się otwarły, stanęła w nich Getti z młodym indiańskim chłopcem.

Zwierzobójca, z pozornym spokojem, najobojętniej wyszedł popatrzeć, czy na przystani nie znajdują się inni czerwonoskórzy - nikogo nie było, jedna tylko, zbita z sosnowych pni niewielka tratwa, którą Indianin przywiózł Getti.

- Wszystko to stało się z powodu grzebania w cudzych kufrach - mruzczał młody myśliwy. - Powinniśmy być ostrożni. Zamiast chłopca mogło się zjawić kilkunastu Indian. Wygląda na to, że Mingowie chcą rozpocząć układy o wydanie jeńców. Zobaczmy, jakie wrażenie wywołają na Indianinie nasze pionki.

Ujrzawszy słonie, chłopiec popadł w niezwykły zachwyt, wykrzykując od czasu do czasu: - hu! hu! hu!

Po chwili, Zwierzobójca dotknąwszy palcem jego gołego kolana rzekł:

- Chcę mówić z moim młodym przyjacielem z Kanady. Słuchaj mnie uważnie. W waszym obozie jest dwóch jeńców. Czy nie wiesz co z nimi zamierzają zrobić?

Chłopak ze zdziwieniem spojrział na myśliwego, następnie przyłożył do ucha wskazujący palec i otoczył nim wokoło głowy, pokazując w jaki sposób skalpują.

- Czemu wodzowie nie chcą odprowadzić jeńców do swych wigwamów?

- Droga tam daleka, a na niej pełno bladych twarzy. Wigwamy przepełnione, a skalpy drogie.

- Zrozumiałem - odparł Zwierzobójca. - Wracaj więc do swoich i powiedz im, że dziewczęta

pragną wykupić jeńców, w zamian dają dwie takie figurki.

Chłopiec indiański kiwnął głową, chciał jednak wziąć na pokazanie jednego słonia. Zwierzobójca stanowczo odmówił jego żądaniu. Nie zgodził się też na danie mu łódki.

- Gdy blade twarze powrócą tutaj, wodzowie otrzymają dwoje zwierząt - powiedział stanowczo.

Czerwonoskóry odpłynął z powrotem, na własnej sosnowej tratwie. W czasie gdy Zwierzobójca rozmawiał z chłopcem Getti odszukała Szyngaszguka.

- Ty jesteś Szyngaszguk, Wielki Wąż - zapytała - nieprawdaż?

- Szyn-gasz-guk - odparł Indianin - akcentując każdy z wyrazów.

- Mam dla ciebie wiadomość. Witawa, dziewczyna delawarska, będąca w niewoli u Mingów, poleciła, bym ci. powiedziała, abyś się ich strzegł.

Indianin drgnął usłyszawszy imię Witawy. Nie przypuszczał na chwilę nawet, aby porwana narzeczona mogła znajdować się tak blisko niego.

- Prosi cię - mówiła Getti - abyś przyплыł po nią łódką do wielkiego cypla dziś wieczorem, kiedy wielka gwiazda zapłonie ponad pagórkami.

- Dobrze, Szyngaszguk wszystko zrozumiał i wszystko wypełni - odparł wódz.

W tej chwili Zwierzobójca przywołał Indianina, a Getti wróciła do siostry.

- Zastanówmy się co musimy uczynić jeżeli nasze układy do niczego nie doprowadzą - rzeki myśliwy do swojego przyjaciela.

- Lękam się nocnego najazdu Mingów, chyba w łodzi będzie bezpieczniej.

Postanowiono niezwłocznie przenieść cały majątek, broń i proch na łódź. Nie zdołali jeszcze zabrać się do przenoszenia, gdy ukazała się tratwa, tym razem już z dwoma Indianinami. Gdy przybliżyli się na jakieś 50 kroków od przystani, Zwierzobójca krzyknął do Indian, aby się zatrzymali.

- Czy jesteście wodzami? - spytał rozkazująco.

- Hu! - odkrzyknął starszy. - Błady jest bardzo śmiały. Nazywam się Riwenoc, Delawarowie drżą z przerażenia na sam dźwięk tego imienia. A jak zowie się mój młody przyjaciel?

Zwierzobójca milczał chwilę, a potem dumnie, wyprostowawszy się, rzekł:

- Jeden z waszych wojowników, którego duch powędrował wczoraj do krainy Wiecznych Łowów, rzekł, iż zasługuję na miano Sokolego Oka, gdyż spojrzenie moje okazało się bardziej bystre od jego, w czasie walki na śmierć i życie.

- Brat mój, Sokole Oko, przysłał Huronom przyjemną wieść, iż posiada zwierzęta o

podwójnych ogonach. Czy zechcecie pokazać je swoim przyjaciółom?

- Dobrze, Mingo - rzekł myśliwy - rzucę ci jednego z nich, jeżeli jednak nie zwrócisz mi go, wpakuję ci kulę w łeb!

Szachowy słoń wprowadził wojowników w nie dający się opisać stan podniecenia.

- Czy brat mój posiada jeszcze takie stworzenia? - spytał Riwenoac, nie spuszczać pionka z oczu.

- O! mam Wiele, nawet bardzo wiele, - brzmiała odpowiedź, - każde jednak takie zwierzę kosztuje pięćdziesiąt skalpów.

- Jeden z moich więźniów, to wielki wojownik, - mówił Indianin - piękny jak bóstwo, szybki jak jeleń, silny jak szary niedźwiedź, a okrutny jak pantera. Z czasem zostanie wielkim wojownikiem białego wodza.

- Stój, Mingo, co mówisz - przerwał Zwierzobójca - ależ Huori Garri dosłuży się najwyżej kaprała.

Cóż z tego, że jest olbrzymiego wzrostu, kiedy idąc przez las zawadza i potyka się co krok? Jest silny, to prawda, silny jednak nie zawsze bywa rozumny, a król Jerzy wybiera sobie na generałów ludzi odznaczających się nie tylko samą siłą. Szybki, ale kula karabinowa jest stokroć szybsza od niego. Nie, Mingo, skalp twego więźnia jest wart tyle ile skalp najzwyczajniejszego żołnierza.

Po ożywionych pertraktacjach wodzowie zgodzili się wymienić jeńców na trzy słonie szachowe, po czym dwie godziny później podpłynęła do przystani tratwa, na której leżeli związani Harry i Tom. Zwierzobójca zbiegł co prędzej na dół, rozwiązał sznury krępujące więźniów i dawszy Mingo okup, polecił niezwłocznie powracać. w obawie, aby krewki Harry nie odplacił im za to po swojemu.

Dziewczęta rzuciły się powitać ojca. Wybuchy radości przeplatały się z relacją o minionych zdarzeniach. Dopiero uczucie głodu przywołało wszystkich do rzeczywistości.

Dziewczęta zajęły się przygotowaniem posiłku, a Zwierzobójca, nieco zmieszany, opowiedział o okupie, jaki dali Indianom. Tom Hutter nie miał im za złe, że sięgnęli do kufra, nawet zdawał się być bardzo zadowolony z tego. Po kolacji udał się na przystań, wrócił jednak natychmiast trzymając w ręku pęk strzał umoczonych we krwi.

- To znak, - powiedział stary Hutter zakłopotany - że Indianie wypowiadają nam wojnę. W tym domu nie jesteśmy bezpieczni, co prędzej należy siadać do łodzi.

Wkrótce opuszczono dom, łódzie przywiązano i przymocowano do pali, przeniesiono tam wszystko, co tylko było niezbędne, po czym wszyscy się tam ulokowali, Pogaszono światła i zapadła martwa cisza.

Wypocząwszy chwilę, Zwierzobójca wraz z Szyngaszgukiem odwiązali kajak i zachowując dalsko posuniętą ostrożność, zaczęli przekradać się z wolna do cypla, trzymając w ręku nabita broń. Szyngaszguk obszedł cały cypel. Śladów Witawy nigdzie nic zobaczył, od czasu do

czasu dobiegał go jedynie płacz dziecka i śmiech indiańskich kobiet.

Czekali przeszło godzinę. Zwierzobójca zaproponował przyjacielowi by wsiadł do kajaka, aby wynaleźć odpowiednie miejsce, z którego obserwować można by cały indiański obóz.

Szyngaszguk odmówił temu z obawy, że Witawa go nie zastanie. Młody myśliwy popłynął, więc sam, a Indianin ukrył się w krzewach. Zrównawszy się z obozem, Zwierzobójca ujrzał płonący stos, bezszelestnie zatrzymał łódź i zaczął bacznie obserwować. Dokoła ogniska siedziało nie więcej jak dziesięciu Indian, reszta była nieobecna, lub odpoczywała w swoich wigwamach.

Na przedzie siedział Riwenoac, obok wojownik, któremu pokazywał słonie, a spoza jego ramienia z ciekawością spoglądał chłopiec. W pewnej odległości, leżało kilkunastu wojowników, niedaleko nich siedziały kobiety i dzieci. Kiedy do ogniska podrzuciono chrustu płomień strzelił wysoko oświetlając pozostający w nocnej pomroce teren obozu. Zwierzobójca ujrzał starą kobietą i idącą za nią młodą Indiankę.

Spoglądała trwożliwie na gwiazdy, z czego myśliwy wywnioskował, że musi być narzeczoną jego przyjaciela, stara zaś jest jej strażniczką. Uznał, że musi powiadomić o tym Szyngaszguka; zdecydowali się działać inaczej.

Młodzi ludzie wyszli razem na brzeg, wzięli broń i zaczęli ostrożnie podkradać się w stronę ogniska. Zbliżywszy się do położonego na skraju obozu wigwamu Szyngaszguk zaświstał, a gwizd ten przypomniał głos wiewiórki.

Witawa spojrzała w ich stronę, znała dobrze zwykły sygnał młodego wodza, jednak lękała się ruszyć z miejsca. Na szczęście jeden z wojowników posłał starą po wodę do strumienia płynącego dość daleko od ogniska. Stara wzięwszy skórzany worek i zawoławszy "Witawę, zaczęła schodzić z pagórka.

Szyngaszguk chciał rzucić tomahawkiem w starą Indiankę, gdy będzie przechodziła koło drzew, za którymi się ukryli. Zwierzobójca jednak wyperswadował mu to, nie chcąc daremnie przelewać krwi. Rozległ się znowu świst wiewiórki, stara mruczała coś przez zęby. Szła przodem, oni podążali za nią.

Napełniwszy worek wodą, stara zaczęła wspinać się na strome zbocze, po którym biegła ścieżka prowadząca do obozu. Zwierzobójca skorzystał z tego, że Indianka całą swoją uwagę skierowała na podchodzenie w górę po tej niezbyt wygodnej dróżce. Skoczył i chwycił ją za gardło udaremniając krzyk. Szyngaszguk zaś pochwyciwszy na ręce Witawę poniósł ją ku łodzi. Mając litość nad starą, myśliwy od czasu do czasu zwalniał ucisk, Indianka skorzystawszy z takiego momentu zaczęła krzyczeć z całych sił.

Głośny krzyk zaalarmował Indian, dały się słyszeć ciężki kroki.

Zwierzobójca zaczął uciekać i wkrótce dobiegł do miejsca, gdzie oczekiwał go Szyngaszguk z narzeczoną. Rzuciwszy broń do łodzi, nachylił się, aby odbić ją od brzegu, gdy w tej samej chwili spoza krzaków wyskoczył olbrzymi Indianin, rzucając mu się całym ciężarem na plecy.

Życie wszystkich zawisło na włosku. Zwierzobójca jednak silnym ruchem ramion zdołał

uwolnić się od napastnika, odbił łódź od brzegu, ale nie zdążył już do niej wskoczyć. Spokojny o los przyjaciół rzucił się do ucieczki. Dopadł go jednak Indianin, rozpoczęli zażartą walkę.

Zwierzobójca był o krok od zwycięstwa, gdy pojawiło się kilkunastu dzikich, którzy w jednej chwili otoczywszy pierścieniem walczących obezwładnili go i zabrali do obozu.

## Rozdział 5

Kiedy myśliwego przyprowadzono do ogniska, Riwenoac szepnął towarzyszom, że to on właśnie jest owym Sokolim Okiem.

Wiadomość tę Indianie przyjęli z radością, oddając mu oznaki czci, chociaż dla wszelkiej ostrożności związano mu nogi.

- Witaj, przyjacielu - rzekł doń Riwenoac sadzając go na pniu, tuż koło ogniska. - Osusz twe ubranie, u Mingów silny ogień. Czemu to Sokole Oko przebywa w otoczeniu kobiet delawarskich?

- Opatrzność zrzaǳiła, że mieszkam z nimi od najmłodszych lat i tak będzie do samej śmierci, pomimo iż jestem chrześcijaninem.

- Brat mój, Sokole Oko, uczciwy, mówi zawsze to co myśli. Niechaj mnie wysłucha. Brat mój zna Szczura Piźmowego, nie jest bynajmniej jego przyjacielem. Szczur Piźmowy jest złym człowiekiem, zdzieraczem skalpów z kobiet i dzieci. Niechaj Sokole Oko uda się do niego i oznajmi mu, iż uciekł od Mingów. Niech otworzy bramy fortu i wpuści Mingów.

- Rozumiem, czego chcesz Mingo - powiedział myśliwy dalej. - Mylisz się jednak bardzo, biorąc panterę za wilka. Ani żaden z Delawarów, ani żaden z białych nie uczyni tego, czego żądasz. Ty jeden tylko, Mingo, jesteś do tego zdolny.

Chociaż odpowiedź była dla Riwenoaca bardzo nieprzyjemna uśmiechnął się i rzekł:

- Dobrze! Mingo wiedzą, iż więzień ich jest wielkim wodzem, traktować go będą odpowiednio do jego zasług. Jeżeli zostanie skazany na tortury, męki jego nie będą takie, jak zwykłego człowieka, jeżeli pozostanie przy życiu, zostanie przyjacielem wodzów.

Krew zastygła w żyłach Zwierzobójcy na myśl o grożących mu torturach, zapanował jednak nad sobą, nie okazując bynajmniej Indianinowi, ile to go kosztuje.

- Bóg oddał mnie w wasze ręce. Nic wiem czy siły ludzkie dadzą mi wytrzymać wasze okrutne tortury, nic skalam jednak rodu, z którego wyrosłem!

Nagle Zwierzobójca umilkł nie wierząc własnym oczom. Przed nim stała Getti Hutter, która z całą odwagą przyszła do dzikich, przekonawszy się już wcześniej, iż ci nie zrobią jej nic złego.

- Przysyła mnie Judyta - rzekła do myśliwego' - aby cię u Mingów wymienić na słonie.



- A czy Harry i Tom wiedzą o tym, żeś się udała do obozu czerwonoskórych?

- Nie. Obydwaj spali, gdyśmy wypłynęły na kajaku.

- Powiedz im, niechaj się strzegą. Mingowie bacznie ich śledzą.

- A co masz do powiedzenia Judyście? Odeśle mnie z powrotem, skoro nie przyniosę od ciebie żadnych wiadomości.

- Powiedz jej, proszę, całą prawdę: że jestem w niewoli u Mingów, że groźbami skłaniali mnie do zdrady przeciw twemu ojcu i wam wszystkim. Na to nie zgodzę się nigdy. Niezawodnie wkrótce zaczną mnie torturować, najokropniejsze jednak męki i cierpienia nie uczynią ze mnie zdrajcy!

Getti uważnie słuchała szlachetnego zapaleńca, uściśnęła mu dłoń i tak pożegnawszy się z nimi zniknęła w ciemności. Jeden z wojowników śledzący ją, widział jak siadała do czółna, gdzie oczekiwała na nią Judyta. Getti przekazała jej słowa nieszczęsnego, po czym obydwie siostry powróciły do swej wodnej siedziby.

O świcie Tom Hutter, Harry i Szyngaszguk skierowali kajak ku fortecy. Pływający dom zbliżał się ku przystani, gdy nagle Szyngaszguk zawołał:

- Nie można płynąć do zamku. Tam Mingo!

- Jeżeli to jest prawda, Tomie - powiedział Harry - w takim razie wpadliśmy w szatańską pułapkę. Nie widzę jednak nic podejrzanego.

- Czy blade twarze nie widzą mokasynów? - spytała Witawa. W istocie, w pobliżu przystani pływał but tubylca, mogła go sprowadzić z daleka fala lub być umyślnie wrzucony przez czerwonoskórych.

- Człowiek odważny nie lęka się kawałka skóry - rzekł z przechwałą Harry, kierując ster ku brzegowi.

Tom wraz z Harrym zeszli na przystań, Szyngaszguk zaś z dziewczętami pozostał w łodzi, ściągnął żagle, a za pomocą zarzuconej przez Huttera liny, odciągnął ją na taką odległość od brzegu, iż można było dostać się doń jedynie tylko wplaw lub na łodzi.

Ostrożność zastosowana przez Szyngaszguka okazała się jednak pożyteczną.

Tom i Harry zdołali tylko przestąpić próg, gdy do uszu pozostałych w łodzi dobiegł straszny hałas, jakby gromadka dzikich zwierząt walczyła w klatce, przy czym cały budynek trząsał się i skrzypiał.

Zmuszony do strzeżenia dziewcząt, Szyngaszguk nie mógł przyjść białym z pomocą. Domyślił się, że Mingowie pod osłoną nocy sforsowali wszystkie przeszkody i opanowali siedzibę Piżmowego Szczura. Pozostawało mu jedynie przeciąć linę i odepchnąć łódź jeszcze dalej od brzegu. Z bezpiecznej odległości obserwowali dom.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, wybiegło z nich trzech Indian z wyrazem przerażenia na twarzy, za nimi ukazało się jeszcze dwóch.

Harry, załatwiwszy się z dwoma przeciwnikami, których pokonał, rzucił się jak rozwścieczony lew na pierwszego napotkanego tubylca, schwycił go w pól, zrobił nim młynek w powietrzu i wrzucił do jeziora.

- Nie ustawaj, stary Tomie - wołał. - Tak jak tego, wytopię tych wszystkich łotrów!

Z tymi słowami uderzył tak silnie w brzuch jednego z dzikich, iż ten za chwilę runął jak nieżywy na ziemię.

Pozostał teraz jeszcze jeden nieprzyjaciel równie zręczny i najsilniejszy ze wszystkich. Był tej samej budowy co i Harry, a przekonany o swojej sile najspokojniej oczekiwał natarcia nieprzyjaciela, który, na wpół oszołomiony swymi zwycięstwami, postanowił również wrzucić do jeziora i tego Goliata.

Nastąpiła rozpaczliwa walka. Harry starając się z początku powalić Indianina na ziemię pochwycił go za gardło i ręce, ten jednak wymknął mu się zręcznym ruchem. Wówczas myśliwy uczynił nadludzki wysiłek i rzucił przeciwnika na ziemię. Ogłuszony Indianin stracił na chwilę przytomność, znów jednak skoczył i rzucił się z całą zaciekłością na Harrego, który chwyciwszy go dwoma rękoma, uniósł w powietrzu, a rzuciwszy na ziemię zaczął go dusić dotąd, dopóki nie skonał.

Reszta czerwonoskórych, przerażona jego zwycięstwem, wskoczyła do łodzi i szybko odpłynęła.

W parę chwil potem Harry wraz z Szyngaszgukiem przyciągnęli kajak do przystani, a Judyta rzuciła się na poszukiwanie ojca. Znalazała go nieruchomo leżącego w kącie pokoju, z czapką przykrywającą twarz. Gdy zdjęła ją, ujrzała z przerażeniem, że był oskalpowany.

- Wody! wody! - błagał starzec.

Gdy dano mu się napić, otworzył oczy. Wszyscy zgromadzili się wokół nieszczęśliwego.

- Co z tobą, biedny mój Tomie, zrobiły te łotry? - pytał Harry. - Nie, przyjacielu, handel skalpami jest wprost nieludzki, zarzucę to krwawe rzemiosło.

- Mózg płonie! - wołał starzec. - Serce mi pęka Harry, zawsze najpierw zabijaj, a dopiero skalpuj!

Tom raz jeszcze otworzył oczy i zaczął szukać czegoś dokoła siebie. Widocznie oślepl. W pół godziny później starzec zmarł po niewysłowionych cierpieniach.

Córki gorzko opłakiwały ojca, cały dzień spędziwszy u jego zwłok, a wieczorem odbył się pogrzeb.

Trupa Huttera zawinięto w płócienne prześcieradło, przywiązano doń kilkanaście kamieni, przeniesiono na kajak i spuszczone po linie do jeziora w tym samym miejscu, gdzie pochowana została jego żona.

Westchnąwszy za spokój duszy nieszczęśliwego starca, w niemym milczeniu powrócono do domu.

## Rozdział 6

Podczas gdy mężczyźni przymocowywali kajak do przystani, zapłakana Judyta weszła sama do domu. Zdziwiła się niezmiernie zastawszy tu Zwierzobójcę i z płaczem przypadła do jego piersi.

- Jak się masz przyjacielu - rzekła smutna. - Czy Mingowie ulitowali się nad tobą i puścili cię, czy też udało ci się od nich uciec?

- Ani jedno, ani drugie. Jestem tu posłem i muszę do nich wrócić.

- Jakież zakład wzięli od ciebie - spytała ciekawie młoda dziewczyna.

- Moje słowo - odparł myśliwy - a czyż ono nie powinno być największą poręką człowieka?

- Czyli dane słowo zobowiązuje cię do powrotu do tych okrutnych i niemiłosiernych wrogów, gdzie' wiadomo, iż śmierć czyha w każdej chwili.

Zwierzobójca obrzucił ją tak pogardliwym spojrzeniem, iż zamilkła na chwilę.

- Kiedy upływa termin twego powrotu? - spytała w parę chwil później drżącym ze wzruszenia głosem.

- Jutro w południe - odparł Zwierzobójca. - Mingowie lękają się odwetu angielskich żołnierzy dlatego nie chcą tracić czasu. Postanowili, jak mi się zdaje, w razie niepowodzenia sprawy, oddać mnie na tortury po południu. Słuchajcie mnie uważnie, przyjaciele - mówił. - Mingowie uważają się teraz za wszechwładnych panów jeziora i są przekonani, że nikt z was nie ośmieli się im przeciwstawić. Zgadzą się, aby Harry i Szyngaszguk odeszli wolno, żądają jednak w zamian wydania Witawy i córek Toma, chcą, aby one zabrawszy cały swój majątek, przeniosły się do ich wigwamów. - O tym wszystkim pomówimy jeszcze jutro. Dziś chciałbym spędzić z wami spokojny wieczór. Nie wiadomo, czy jeszcze się kiedyś zobaczymy.

- Niech idą do wszystkich diabłów, oto nasza odpowiedź dla łotrów! - wołał Harry. - Natychmiast udam się do nich i powywieszam jak psy. Nie byłbym inaczej Huori Garrym.

- Niezwykle ucieszysz ich swoim przybyciem - rzekł sucho Zwierzobójca. - Mówili, że jeżeli Wysoka Sosna zapragnie walczyć z nimi, niech przybywa. A ty co powiesz na te żądania Szyngaszguku? Jako posłuszny poseł muszę przynieść Mingom twoją odpowiedź.

Młody wódz powstał i rzekł:

- Słuchaj odpowiedzi Wielkiego Węża dla wilków z Kanady. Zresztą Mingowie próżno nazywają się wilkami, to wściekle psy. Powiedz im, aby wylili głośniejszy, inaczej Szyngaszguk nie odnajdzie ich w lasach, gdzie zakradają się jak lisy, zamiast wojować jak na prawych wojowników przystało. Wódz przychodził do Mingo zabrać swą własność, dziewczynę

delawarską, i nie będzie prosił o pozwolenie włóczących się psów. Witawa pozostanie u niego i będzie piekła mu dziczyznę. Delawarowie umieją zapędzić Mingo do ich nor.

- Nazbyt to śmiała odpowiedź, przyjacielu Szyngaszguku. Strasznie ich ona rozgniewa. A co wy mi powiecie, Judyto i Getti?

- Widocznie Mingo nie znajdują różnicy między czerwonoskórymi i białymi - spokojnie rzekła Getti - inaczej nie żądałoby od nas byśmy osiedliły się w ich wigwamach. Matka mówiła nam zawsze, że powinniśmy mieszkać między chrześcijanami. Zresztą nie chcę porzucać tak drogich mi mogił, znajdujących się na dnie jeziora.

- Zuch Getti! - zawołał Zwierzobójca z zachwytem.

- Getti ma rację - powiedział Harry - a ty Judyto, zanim odpowiesz, wysłuchaj mnie - rzekł, zwracając się do drugiej siostry.

- Od dawna podobasz mi się, dlatego też proszę cię o twą rękę. Możesz być pewna, iż potrafię obronić siebie i swą żonę od tysiąca czerwonoskórych.

Judyta poruszyła głową przecząco.

- Nie, Harry - odrzekła. - Żoną twą zostać nie mogę, przyjacielem twym jednak pozostanę na całe życie. Daj mi rękę.

- Kiedy tak, - odrzekł Harry, niechętnie podając rękę dziewczynie - nie pozostanę tu ani chwili dłużej. Lepiej udam się do twierdzy z prośbą o przysłanie angielskich żołnierzy.

Rozstawszy się z wszystkimi przyjaźnie, Harry wskoczył do łodzi i dość szybko przeprawił się na drugi brzeg, będący bliżej twierdzy.

Dziewczęta zaczęły porządkować rzeczy oraz papiery i dokumenty pozostałe po zmarłym Hutterze; z listów jakie pozostały okazało się, że Tom, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Hower, karany był za morskie rozboje i stawał przed sądem. Wyszło też na jaw, że Judyta i Getti bynajmniej nie były jego córkami, że pochwycił je wraz z matką i zabrał do swojej siedziby na jeziorze. Nazwisko i pochodzenie sióstr pozostawało nierozwiązaną zagadką.

Młode dziewczęta nie mogły dojść do siebie po tak niespodziewanym odkryciu. Judyta pierwsza jednak zapanowała nad sobą, mówiąc wzruszonym głosem:

- Pozwól, abyśmy lepiej pomówili o tobie, Zwierzobójco. Wiedz, że obie z siostrą gotowe jesteśmy poświęcić cały majątek dla twego ocalenia.

- Mingowie uważają za swą własność ten dom i wszystko co się w nim znajduje - odrzekł myśliwy. - Jeżeli nawet oddasz im klucze od zamku i kufrów, to możesz być pewna, Judyto, że nie podziękują.

Do późnej nocy obmyślano sposoby uwolnienia Zwierzobójcy, nie mogli jednak nic wymyśleć.

Gdy zbliżyła się godzina powrotu myśliwego do Mingów, Judyta przyniosła mu w podarunku

wspaniałą broń Toma Huttera, on jednak pozostawił ją Szyngaszgukowi.

Pożegnanie było bardzo smutne. Punktualnie w samo południe Zwierzobójca przybył do cypla, gdzie już Mingowie nań oczekiwali.

- Skończyłem wszystkie sprawy ziemskie i gotów jestem stanąć przed Bogiem bladych twarzy! - głośno i dobitnie wyrzekł młodzieniec.

- Błada twarz jest uczciwa - rzekł Riwenoac.- Lud mój cieszy się, że schwytał człowieka, a nie lisa. Postąpimy z, tobą, jak z wodzem.

- Zabieś - mówił dalej - naszego wojownika, gotów jesteś jednak przejść próbę życia. Młodzi nasi wojownicy przekonani byli, że krew bladej twarzy nie będzie płynęła. Ty im dowiedziesz, że serce twoje jest również silne jak i ciało.

- Jeśli rada starszych - kończył Riwenoac - postanowi, że Antylopa nie może sam jeden wędrować w krainie duchów i że w ślad za nim należy posłać jego nieprzyjaciela, przekonają się, iż Antylopa padł z ręki bohaterskiej i wyróżnią cię takimi oznakami przyjaźni, jakie przynależą wielkim wodzom.

Z tymi słowy wódz oddalił się, jeńcowi powiedziano, że dopóki starszyzna nie wyda ostatecznego wyroku, może pozostawać na wolności. W pół godziny później Zwierzobójcy polecono stanąć przed sądem złożonym z kilkunastu starszych wojowników.

- Sokole Oko, rzekł doń Riwenoac - posłuchaj mądrych słów starszyny!

- Jeden z naszych braci padł niedawno z twojej ręki. Upłynie wiele czasu zanim syn jego zdoła go zastąpić. Wdowa potrzebuje tymczasem pożywienia dla siebie i dla dzieci, siedzących na podobieństwo ptaków w gnieździe. Ręka twa uczyniła ich nieszczęśliwymi.

- Oto Sumacha - mówił dalej - mieszkająca sama w wigwamie, a oto broń. Bierz ją, idź do lasu i upoluj zwierzynę, przynieś tą zwierzyną Sumasze, nakarm jej dzieci i weź ją za małżonką. Wówczas przestaniesz być Delawarem, a zostaniesz Mingiem. Uszy Sumachy - kończył - nie posłyszają więcej płaczu głodnych dzieci, a lud mój będzie miał tyle samo wojowników.

- Mingowie - zawołał Zwierzobójca - pomyślcie czego żądacie ode mnie. Jestem bladą twarzą, nie mogę brać za żonę czerwonoskórej. Nie Mingo, kochać mogę tylko białą kobietę i mieszkać pośród białych albo Delawarów.

Śmiałe słowa myśliwego wywołały niezadowolenie u Indian, w odpowiedzi na nie dały się słyszeć nieprzyjemne okrzyki. Najwięcej groziły stare kobiety, a najgłośniej krzyczała piękna Sumacha.

Brat jej, Pantera, jeden z najodważniejszych wojowników, poczuwając sobie za ujmę, iż siostra jego zostanie żoną białego, wpadł teraz we wściekłość, gdy Zwierzobójca odrzucił z pogardą propozycję starszyny.

Wybierając za cel głowę Zwierzobójcy rzucił tomahawkiem, on jednak z rzadka spotkaną zręcznością chwycił lecący toporek. Jeniec miał teraz szansę obrony; zanim otaczający go

Indianie spostrzegli się cisnął tomahawkim we wroga. Ostrze żelaza rozkroiło głowę Pantery, raniony śmiertelnie Indianin padł na ziemię.

Mingowie otoczyli Panterę, a Zwierzobójca, korzystając z tego rzucił się do ucieczki, w pogoń puściła się cała gromada Indian. Wbiegłszy na wierzchołek wzgórza, obejrzał się, odległość między nim a goniącymi Indianami nie była duża. Nie miał szansy dobiec do łódki. Jednym skokiem skrył się wśród konarów rozłożystego drzewa. Prześladowcy nie zauważywszy go przebiegli obok kierując się ku brzegom jeziora.

Zwierzobójca stał nieruchomo, przypatrując się temu wszystkiemu, co się działo w dolinie. Kiedy prześladowcy jego zniknęli mu z oczu, ruszył ich śladem, przemykając od drzewa do drzewa. Miał jeszcze do przebycia mały okryty odcinek przybrzeżnej dolinki, gdy dzicy go spostrzegli. Rzucili się za nim z dzikim rykiem.

Na szczęście zdążył dotrzeć do swojej łodzi, wskoczył i odbił od brzegu, lecz z przerażeniem stwierdził, że nie ma wiosł, aby więc uniknąć strzał i kul nieprzyjacielskich pozostało leżeć spokojnie w łodzi i oczekiwać chwili przyływu, która odepchnie jego łódź na środek jeziora.

Przeleżawszy tak z kwadrans, zaczął już mieć nadzieję, iż kule Mingów nie dosięgną go, gdy nagle uczuł, iż dno łodzi ociera się o piasek, a nad nim rozciągają się zielone gałęzie. Zerwawszy się zobaczył, że fala zepchnęła łódź do brzegu na którym oczekiwali go Indianie - widzieli bowiem, iż łódź płynie w ich kierunku i aby go zaskoczyć zachowali zupełną ciszą - teraz runęli nań z dzikim okrzykiem.

- Dostyc pływales, przyjacielu - zawołał wódz - zapomnisz teraz zupełnie jak Biegają ludzie.

Jeńca odprowadzono do obozu, silnie przywiązano sznurem do drzewa, tak że nie mógł się poruszyć.

Stojąc z odkrytą głową pośród palących promieni słońca, Zwierzobójca wyczekiwał spełnienia swego losu.

Riwenoc skrycie podziwiał odwagę i wszystkie umiejętności myśliwego, chciał więc zatrzymać u siebie tak dzielnego wojownika, dlatego postanowił uciec się do ostatecznego środka. Namówił Sumachę, aby wyrzekła się zemsty za brata i za męża, przekonując ją, że biały może jej być bardzo przydatnym.

Indianka zgodziła się na to i zbliżając się do jeńca rzekła:

- Okrutny biały człowieku, nie widzę już wśród żywych ani szybkonogiego Antylopy, ani dzielnego Pantery, za to widzę ciebie. - Tyś ich zabił, - mówiła dalej - chociaż nic złego ci nie uczynili. Mimo tego, Mingo gotowi są zapomnieć ci wszystko zło, któreś uczynił, jeśli zobowiąziesz się karmić, Sumachę i jej dzieci!

- Nic z tego! - zawołał Zwierzobójca. - Niechaj wodzowie wasi czynią ze mną co chcą, ale ty nie możesz zostać moją żoną.

Usłyszawszy powtórny odmowę, Mingowie wpadli we wściekłość. Biały shañbił ich pokolenie, odrzucając Sumachę i przekładając śmierć nad ich wspaniałomyślność, którą

okazali ofiarując mu żonę ze swego szczepu. Podobny występki domagał się krwawej zemsty. Riwenoac zmuszony więc był poczynić przygotowania do stosowania tortur.

Najpierw rozpoczęto rzucanie toporami w drzewo, o włos od głowy skazanego. Indianie tak zręcznie rzucali tomahawkami, iż te zaledwie tylko ocierały się o niego.

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Zwierzobójcy podczas tej okropnej sceny. Z lodowatym spokojem patrzył na latające ustawicznie, wokoło siebie topory; zyskał sobie tym jeszcze większy szacunek Mingów.

Wreszcie wojownicy zaprzestali rzucania tomahawkami, po czym Riwenoac zawezwał pięciu najcelniejszych strzelców.

Zwierzobójca, pomodliwszy się, przygotowywał się na śmierć, pocieszając tym, iż zginie od ukochanej broni - strzały.

Wycelowano, strzelano i znów strzały, podobnie jak topory, przebiegały tuż ponad głową myśliwego, głęboko wbijając się w drzewo. Zwierzobójca zaczął szydzić, iż nie potrafią dokładnie celować. Pragnął bowiem, aby raz z nim skończono, jednak podstępni tubylcy, odgadłszy jego zamiary celowali dalej, jak poprzednio, do drzewa. W tym czasie czyniono przygotowania do nowych tortur.

U nóg Zwierzobójcy zgromadzono suche gałęzie i zastrzone pale; pale te zamierzano powbijać w ciało ofiary i zapalić. Riwenoac dał znak. Zapalono stos i wysoki płomień ogarnął ciało ofiary. W tej samej jednak chwili u stosu zjawił się młody wojownik, który błyskawicznie poprzecinał więzy krępujące jeńca, po czym spokojnie odwrócił się do Mingów twarzą. Z wysokiego czoła, śmiałego spojrzenia i całej dzielnej postawy poznano młodego wodza Delawarów, Szyngaszguka, który trzymając w obu rękach wycelowaną broń i nie zwracając na obecnych żadnej uwagi, wsadził jedną ze strzelb w ręce Zwierzobójcy. Następnie dumnie podniósłszy głowę, wyrzekł głośno i z przekonaniem:

- Mingo, czyż nie starcza dla wszystkich ziemi? Po tej stronie wielkich jezior żyją Irokezi - po tamtej Delawarowie. Ja jestem Szyngaszguk, syn Unkasa, wnuk wielkiego Tamemunda. - Stęskniony za białym przyjacielem - mówił dalej - lękając się o niego, przybywam, gdyż Delawarowie oczekują na swego białego brata. Pozwólcie pożegnać się przyjacielsko i rozejść każdy w swoją stronę.

Mingo osłupieli z wrażenia, jakie wywarło na nich to niespodziewane i śmiałe pojawienie się Szyngaszguka i nim doszli do siebie w lesie rozległy się dziwne głosy i ziemia trzęsła się jakby przechodziło stado bizonów. Wkrótce na ciemnym tle drzew zarysowywać się zaczęły różne postacie, zabłysnęła broń, a na polance ukazały się pąsowe mundury angielskich żołnierzy. Mingowie pochwycili za broń, kobiety i dzieci tłumnie zaczęły uciekać.

Zwierzobójca tak długo zachowujący spokój i zimną krew popędził za uciekającymi, a spostrzegłszy dwóch wojowników, którzy tyle mu uczynili złego, wycelował i położył dwa trupy na miejscu.

Mingowie rozpoczęli ostrzeliwanie, Anglicy zaś rzucali się na nich z bagnietami. Bój skończył się zupełnie porażką Indian.

Nazajutrz, rankiem, gdy wzeszło słońce, było już cicho i spokojnie na brzegach jeziora i lustrzana jego głębia odbijała w sobie jedynie błękitne niebo.

Po przystani przechadzał się wartownik. Kilku żołnierzy zajętych było opodal kopaniem grobów dla poległych.

Wśród rannych znalazła się Getti. Kula przebiła jej bok. Gdy ciche, spokojne dziewczę umarło, ciało jej wrzucono na dno jeziora tam, gdzie spoczywała jej matka.

Judyta odjechała do jednej z twierdz, gdzie wkrótce wyszła za mąż za pewnego młodego angielskiego oficera, Szyngaszguk zaś i Zwierzobójca powrócili do Delawarów i wstawili się w wojnie, która rychło potem wybuchła. Po kilkunastu latach, obaj przyjaciele odwiedzili znów jasne jezioro, w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, syna Szyngaszguka. Matka jego, Witawa, dawno już nie żyła. Śmierć jednakowo nie szczędzi białych i czerwonoskórych.

Miejscowość pozostała taka jak dawniej, widocznie nikt nie odwiedzał brzegów jeziora od czasu zaszłych wydarzeń. Z siedliska Piżmowego Szczura pozostały już tylko same ruiny. Burze zimowe zniosły dach; fundamenty zgniły i zapadły się w ziemię, na wschodnim zaś brzegu leżał zmurszały kajak do połowy napełniony wodą.

Upływający czas wszystko unosi z sobą.